

# A miało być o muzyce...

Olgierd Ślizień

**Olgierd Ślizień:** Panie Andrzeju, pańscy rodzice związani byli z krakowskim środowiskiem dziennikarskim, pan też rozpoczął swoje życie zawodowe jako dziennikarz. Nie kusilo pana, aby pozostać przy tym zawodzie, zamiast szukać swojej szansy w muzyce?

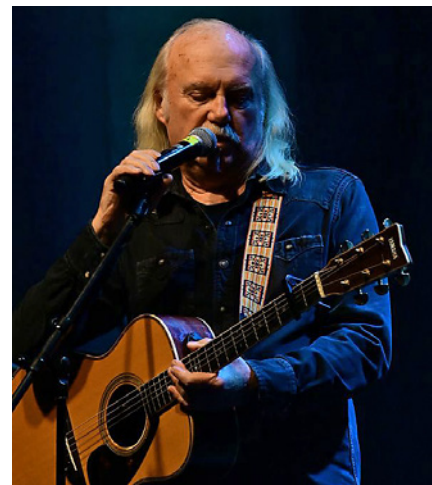
**Andrzej Sikorowski:** Kusilo. Mój ojciec był dziennikarzem. Mama pracowała tylko w biurze Stowarzyszenia Dziennikarzy przez wiele lat. Ojciec po wojnie był kilka lat redaktorem naczelnym krakowskiego „Echa Krakowa”, poczytnej wtedy popołudniówki. Moje losy potoczyły się w sposób i dziwny, i typowy. Dlaczego typowy? W liceum w jedenastej klasie przyszło mi w pewnym momencie do głowy, że chciałbym być lekarzem i ten – może nie kompleks – ale zainteresowanie medycyną we mnie „siedzi”, mimo że nie lubię rozmawiać o chorobach czy cudownych lekach na wszystko. Równocześnie, ucząc się w bardzo określony sposób, to znaczy będąc dobrym z przedmiotów humanistycznych, a beznadziejnym ze wszystkich technicznych, miałem świadomość, że nie przebrnę przez wstępne egzaminy na medycynę. I pewnie tak by się zdarzyło. Dlatego wybór padł na filologię polską, bowiem w domu pewnego rodzaju pietyzm dla języka mówionego, pisanego, czytanego był oczywisty. Przez dom przewijali się dziennikarze. Skończyłem studia, ale nie napisałem pracy magisterskiej. Zatrudniłem się na jakiś czas do „Gazety Południowej”, dziesięcioletniej „Gazety Krakowskiej”. I tam przeżyłem zawód, bo w młodzieńczym zapale dziennikarskim pomyślałem, że jak mnie przyjmą do współpracy czy nawet na etat, to ja sobie będę pisał recenzje teatralne czy filmowe albo jakiś świetny wywiad opublikuję z kimś ważnym, albo jakiś reportaż. Dostałem się do działu miejskiego. I szef tego działu po prostu rano zlecał nam różne zadania. Trzeba było napisać notatkę o tym, że pękła gdzieś rura, że wykołcił się tramwaj, że ktoś istotny zmarł, więc trzeba było iść na pogrzeb. Mówię o tym dlatego, że w ten sposób rozstałem się z pracą. W styczniu poszedłem na pogrzeb jakiegoś komunistycznego notabla. W notatce pomyliłem jakieś ważne jego odznaczenia. Szef mnie strasznie „obhuśtał”, bo pewnie był telefon z komitetu partii. Pomyślałem, że to nie dla mnie robota. I potem jeszcze, w 1974 roku Michał Bobrowski zaproponował mi pracę w redakcji rozrywki w krakowskiej telewizji. W ten sposób pracowałem rok w telewizji na Krzemionkach, ale miałem już wtedy mocno

Zapraszam Państwa do przeczytania wywiadu, jaki przeprowadził Olgierd Ślizień z Andrzejem Sikorowskim, uhonorowanym za całokształt swojej twórczej działalności artystycznej – Artystyczną Gwiazdą Hoborskiego – podczas Święta Nauk Ścisłych w AGH – Dni Profesora Antoniego Hoborskiego.

rozkręconą działalność rozrywkową, jeździłem z Kabaretem Pod Budą. To bardzo istotnie wpłynęło na fakt, że nie robiłem kariery telewizyjnej. Przyjemniejszym było stanie z gitarą na estradzie, pisanie piosenek, nagrywanie sesji radiowych, niż pilnowanie, żeby program rozrywkowy niekoniecznie najlepszy, doszedł do skutku. Tak więc, moje związki z dziennikarstwem były przelotne, a gitara i pisanie piosenek zdecydowanie wygrały.

**Gdy pan o tym opowiada, odnoszę wrażenie, że to nie były stracone lata.**

Nie, nie były stracone, bowiem obracałem się w środowisku istotnych, ciekawych ludzi. Jak ktoś się rodzi jedynie parę lat po wojnie, to dotyka jednak bardzo mocno przeszłości. I to zetknięcie z przeszłością miało dla mnie w wielu wypadkach istotne znaczenie, ponieważ w szkole podstawowej uczyli mnie jeszcze przedwojenni nauczyciele. W liceum także. Byli to nauczyciele, którzy potrafili się zdobyć na odwagę, aby powiedzieć, które fragmenty książki do historii mamy wykreślić i nigdy do nich nie zaglądać. Mieli odwagę powiedzieć prawdę o Katyniu. Potem, na studiach, człowiek stykał się z wykładami Kazimierza Wyki, zdałem u Michała Głowińskiego, nieżyjącego już wybitnego teoretyka literatury, tę teorię literatury na plus cztery. Po latach, nagle uświadamiam sobie, ile wyniosłem z tych ponurych komunistycznych czasów. Potem obracałem się w środowisku dziennikarskim, telewizyjnym, jednocześnie powolutku zaznaczałem swoją obecność na estradzie. Poznawałem ludzi, którzy mieli na tej estradzie jakieś osiągnięcia, wyrobione nazwiska. Nawet jeśli dzisiaj nie umiem powiedzieć, że ktoś wywierał na mnie jakiś wielki wpływ, jeśli chodzi o pisanie piosenek, to czy miałem na to ochotę, czy nie, to jakimś wpływowi ogólnemu musiałem podlegać i to, jak jestem dzisiaj ukształtowany – muzycznie i literacko – zawdzięczam pewnie tamtym czasom i spotkaniom z bardzo różnymi ludźmi. Wie pan, jak teraz przyglądam się dzisiejszemu teatrowi, to mam pewne spostrzeżenia. Wychowałem się w Klubie Pod Gruszką, w którym



fot. Z. Sulima

Andrzej Sikorowski

była instytucja karty teatralnej. Dziennikarze wykorzystywali ją, chodząc na spektakle. Ja ją też od czasu do czasu miałem w posiadaniu i chodziłem na wszystkie niemal premiery do Starego Teatru. Po obejrzeniu wybitnych spektakli Jarockiego, Swinarskiego, Wajdy, mnie współczesny teatr nie jest w stanie niczym zaimponować, bo to, co było dobre w teatrze, już się wydarzyło. O czasach komunistycznych powiem – szare, bure, ale fajne towarzystwo. To przede wszystkim czas młodości, do której zawsze się wraca z tęsknotą i sentymentem. Jednocześnie w wielu dziedzinach życia, jak kultura, działo się naprawdę dobrze. Nie powstały potem tak wybitne spektakle ani filmy, ani taka literatura nie została napisana. Ja mogłem się temu wszystkiemu przyglądać z bliska, często mogłem „dotykać” tych ludzi, którzy dzisiaj są już ikonami.

**Nawiązując do pana słów, pozwolę sobie zwrócić się do pana, jak do starszego szkolnego kolegi, ponieważ skończyliśmy to samo liceum, mam bardzo podobne odczucia. Mam na myśli to, co wyniosłem z murów Sobieskiego. Nic, co łatwo zdefiniować, ale te cztery lata w określonym miejscu i towarzystwie mocno mnie ukształtowały.**

To się zgadza. Okres mojego liceum, to był czas dość określonych zainteresowań, dość określonego spędzania wolnego czasu. Nie

było alternatywy dla spotkań brydżowych czy uprawiania sportu w postaci komputera, telefonów komórkowych, wideo, gier komputerowych itp. Uprawialiśmy sport – sam fechtowałem się w Cracovii, krótko, bo krótko, ale pod okiem wybitnych fachowców od szermierki. Byłem lekkoatletą Wawelu, grąłem w koszykówkę albo w piłkę na małe bramki. U kolegów, którzy mieli warunki lokalowe, graliśmy w brydża. Zresztą nauka też wyglądała inaczej niż dzisiaj. Pamiętam, że moja podstawówka to był czas spędzony na ulicy, a nie przy zeszytach, ale to jest już osobne zagadnienie, jaki obecnie jest program, czego uczą w szkole i dlaczego tak dużo. To – jak pan powiedział – wyniosem ze szkoły, to w życiu przełożyło się na zainteresowanie sportem. Ja jestem w zasadzie kibicem wszystkiego. I to nie polega na tym, że najchętniej oglądam Ligę Mistrzów, chociaż bardzo lubię futbol. Z równym zainteresowaniem oglądam snooker albo na przykład curling. Kiedyś, jak byłem w Stanach, to jeden ze znajomych, mieszkający tam na stałe, bardzo precyzyjnie wyjaśnił mi przepisy baseballu i futbolu amerykańskiego. I dopiero, kiedy te przepisy się pozna, to można zafascynować się tymi grami. W nich o coś chodzi. To nie tylko jest takie bezładne przepychanie się wywatowanych dużych chłopaków, tylko tam jest strategia, myśl. To się składa na ogólną, może nawet trochę dyletancką, ale wiedzę, która nazywa się – ja wiem – erudycją, która pozwala człowiekowi wypowiadać się w bardzo wielu dziedzinach. I tyle.

**Styśzę w pana głosie nostalgii za czasami, które już za nami. I sposobem życia, który zapewne już nie wróci. Pokolenia, szczególnie żyjące w tak różnych światach jak Polska powojenna i Polska obecna, będąca od dwudziestu lat w Unii Europejskiej, nie mają wspólnych doświadczeń. Pewnie dzisiejsza młodzież nie jest w stanie sobie wyobrazić tego, o czym pan mówi i wspomina.**

Czas niebawem przyspieszył. I my się od tej przeszłości, którą ja wspominam, oddalamy w jakimś zupełnie kosmicznym tempie. Ta moja tęsknota jest głównie za tym, że w czasach, które opisuję, było mądrzej. Cała wiedza młodych ludzi będzie niedługo się sprowadzała do umiejętności jej znalezienia, a nie do tego, co mają w głowie. Jeśli ktoś będzie chciał, to w ciągu dziesięciu-piętnastu sekund znajdzie wszystko na dowolny temat. W zasadzie szkołę współczesną można by skasować, tylko nauczyć dzieciaki bardzo szybkiego operowania mediami, na przykład telefonem.

**Stanę w kontrze do tego, co pan mówi. Przywołam słowa Alberta Einsteina: „Jedyne, co musisz wiedzieć, to gdzie jest biblioteka”. Czy to nie jest to samo?**

Tak, to jest to samo, tylko dawniej wymagało czasu i przygotowania. Dzisiaj jest pod ręką. Pojawilo się zagadnienie sztucznej inteligencji. Oprócz pożytku, który z niej płynie, pojawiają się obawy o manipulowanie tym zjawiskiem. Powstaje także zagrożenie, że niektóre, nazwijmy to artystyczne zawody będą zmuszone do tego, aby się ewakuować. Dwóch moich kolegów z Krakowa, dobrych fotografików, z dorobkiem, albumami, mówią, że zadali parę razy sztucznej inteligencji temat do zrobienia i dostali propozycje zdjęciowe takie, że sami tego by nie zrobili nigdy. Mówią: zastanawiamy się, czy nie trzeba będzie się pakować. To się zaczyna dziać przecież w kwestii scenariusza filmowego. W Hollywood jest zadyma, bo scenarzyści zaczynają się „burzyć”, że niedługo nie będą potrzebami. Scenariusz napisze sztuczna inteligencja na zadany temat. To samo z piosenką. Si się doskonalili. Im większą ma bazę, tym lepszy jest ten produkt. Nie tak dawno byłem na imprezie, która była poświęcona byłemu dyrektorowi Piwnicy Pod Baranami. Zamówiony na tę okazję sporządzony przez sztuczną inteligencję filmik, na którym Piotr Skrzynecki, z pełnym synchronem, wygłosił życzenia urodzinowe dla tego kolesia, cytując de Montaigne’a. Jeśli teraz pomyślę, że w telewizji światowej pojawia się Biden i wypowiada Putinowi wojnę atomową, swoim głosem, z pełnym synchronem mowy, to ciarki chodzą po plecach. Wystarczy, że paru wariatów wykombinuje, że można zrobić taki żart. Ja się trochę tego wszystkiego boję, a równocześnie mam całkowitą świadomość, że tego się nie da uniknąć. To jest proces, którego się już nie zatrzyma. Będą się spierać o regulacje prawne i tak dalej. Będzie o czym gadać. To już się jakby w jakiś sposób wymknęło spod kontroli. Ja nie twierdzę, że sztuczna inteligencja będzie mądrzejsza niż my wszyscy i nas unicestwi, ale Si w rękach ludzi nieodpowiedzialnych może być cholernie groźna.

**Nie ma pan wrażenia, że tym sposobem wróciliśmy do początku naszej rozmowy i dziennikarstwa? W czasach, kiedy pan pracował jako dziennikarz, a także jeszcze stosunkowo do niedawna, to, co ukazywało się w gazetach, było gwarancją rzetelności i wiarygodności. Bardzo rzadko zdarzało się, że dziennikarz, najczęściej kierunkowo**

**wykształcony, nie zadał sobie trudu, by zbadać źródła, i opublikował coś, co dziś nazywamy fakenewsami. Jeśli wymagalibyśmy, choć powinno to być czymś naturalnym, aby dziennikarze weryfikowali we właściwy sposób przekazywane treści, to o takim sfabrykowanym przemówieniu nikt by nie napisał. Rzetelność zapobiegłaby tragedii.**

No tak, ale dotyka pan tematu, który szeroko można by określić słowem: kompetencja. To znaczy, od tego dziennikarza, którego pan wspomina sprzed lat, wymagało się świetnej znajomości języka, jakiegoś warsztatu, umiejętności dochodzenia i pozyskiwania informacji. W obecnej dobie dziennikarzem może być w zasadzie każdy, kto jeszcze jest sprawny w operowaniu komputerem czy komórką. Więc, jakby nastąpiła pauperyzacja tego zawodu. Ogromna. Dzisiaj do żony powiedziałem przy śniadaniu, że w zupełnie niezauważalny sposób, ale jednocześnie bezbolesny, gazeta codzienna wyparowała z naszego życia. Kiedyś „Dziennik Polski” czy „Gazeta Wyborcza” były na moim stole czymś oczywistym. Rano tam się zaglądało. Pomyślałem o tej nagrodzie, Artystycznej Gwiazdzie Hoborskiego. Przecież dziesięć czy piętnaście lat temu w „Dzienniku Polskim” byłaby o tym notatka, kto otrzymał, że się odbyła taka a taka uroczystość. Dzisiaj nie wiem. Nie sprawdzam już tego, bo gazeta papierowa nie jest mi już do niczego potrzebna. To są dziwne czasy.

W latach 1997–2007 byłem przez dziesięć lat stałym felietonistą „Dziennika Polskiego”. W piątek zawsze ukazywał się mój felieton. Pisałem go zawsze ręcznie, bo nie operuję za dobrze klawiaturą, i dyktowałem maszynistce przez telefon z domu. Nawet, kiedy już zlikwidowali stanowiska maszynistek, bo nie były za bardzo do niczego potrzebne, to śmiali się w tej redakcji ze mnie, że jedną panią zostawili, by odebrała ode mnie felieton. Co, oczywiście, nie było prawdą. Pamiętam, jak z ojcem chodziłem do drukarni na Wielopole, byłem zafascynowany tym miejscem. Ojciec był tam znaną postacią, zatem linotypiści czy zecerzy patrzyli na tego małego Andrzejka z sympatią i pozwalali mi czasem złożyć tą otowianą czcionką na przykład pieczęć, żeby przybić sobie imię i nazwisko. Widziałem, jak powstaje gazeta. Dzisiaj to jest proces zupełnie inny, który nie wymaga trudu, a równocześnie, jak wspominałem, słowo pisane zaczyna zanikać. Jesteśmy w kulturze obrazkowej. Sprzedają się kolorówki, gdzie jest zdjęcie i cienki podpis, bo to jest dla ludzi interesujące. Wie pan, uświadamiam

sobie, że jak moja córka miała do przeczytania Robinsona Crusoe, to przyszła do mnie i powiedziała: to jest nudne. Ja tę książkę czytałem z przysłowiową latarką pod kołdrą, bo matka goniła za czytaniem po nocy. Wtedy uświadomiłem sobie, że współczesna młodzież wymaga innego tempa zdarzeń. Ma się dziać cały czas. Ich nie interesują opisy przyrody. Nie umiem nawet powiedzieć, czy to jest lepiej, czy gorzej.

**Ponownie nie zgodzę się i przywołam ponownie bibliotekę. Choć w innym kontekście. Książki mogę czytać na komórce czy komputerze, ale wolę pójść i wypożyczyć papierowe woluminy. Wizyta w bibliotece to okazja do rozmowy z ludźmi tam pracującymi. O książkach, ich wrażeniach, rekomendacjach. Rekomendację mogę otrzymać też w aplikacji od algorytmu, ale to jednak zdecydowanie nie to samo, co rozmowa. To jeden aspekt. Drugim jest to, że w bibliotece widzę wielu młodych ludzi. Mam wrażenie, że obecnie trwa renesans czytelnictwa. Potwierdzają to tłumy na targach książki w całym kraju.**

Wie pan, ma pan rację. Ja tak samo jestem wielkim fanem biblioteki, bo elektroniczna wersja literatury mnie nie interesuje. Tak samo lubiłem siadać w „Zwisie” z rozpoczą gazetą, chociaż mogłem to zobaczyć w komórce. Lubię nawet zapach farby drukarskiej. Lubię siedzieć z książką w ręce, a nie z tabletem. Współczesne czytelnictwo zależy od marketingu. Jeśli w Polsce nagroda Nike czy Nobla przynosi sprzedaż kilkudziesięciotysięczną czy nawet stutysięczną, to w czterdziestomilionowym kraju to nie jest wiele. Jak rozmawiam ze znajomymi, którzy sami coś wydają, to większość nowości rozchodzi się w kilkutyśięcznych nakładach. To jest kropla w morzu, powiedzmy sobie szczerze. W AGH studiuje wielokrotnie więcej młodych inteligentów. Ja zdaję sobie sprawę, że Nobel i odpowiednie panele i wizyta noblistki w księgarni napędza uwagę społeczną, ale czy – nie chcę wymieniać żadnej nazwy, żeby nie urazić żadnej małej miejscowości – w przysłowiowej Koziej Wólce ktoś jest tym zainteresowany, czy ktoś o tym słyszał? Jeśli tak, to ewentualnie ściągnie z sieci. Literatura o jakiej mówię, zaczyna mieć znaczenie niszowe. Ja nie wieszczę jakiegoś kompletnego zmierzchu inteligencji i wiedzy, bo ona zawsze gdzieś przetrwa, ale powiedzmy sobie szczerze, inteligencja polska podczas wszelkich zrywów narodowych, przemian społecznych, które się dokonały, na przykład „Solidarności”, inteligencja była tam jakby

trochę „doklejona”. Jeżeli gdzieś na świecie dokonuje się przewrót, rewolucyjna zmiana władzy, to ona zawsze ma podłoże ekonomiczne, to są zawsze braki na półkach, to jest bieda, niemożność dotrwania od pierwszego do pierwszego. Rewolucja z powodu braku książek nie wybuchnie nigdy. Jestem o to zupełnie spokojny. Podobnie jak z powodu, że zamkną kina, teatry czy galerię. Reprezentujemy my – jako inteligencja – zbyt małą siłę społeczną, poza tym nie mamy żadnego środka nacisku. Lekarze zastrajkują, górnicy zamkną kopalnię, kolejarze zatrzymają pociągi. A pisarze mogą nie pisać. Tutaj to wszystko idzie w takim kierunku, aby stworzyć pewnego rodzaju namiastkę wszystkiego. Wystarczy spojrzeć na ostatnie dziesięć lat Oskarów filmowych. Te filmy – niektóre lepsze, niektóre gorsze – one nie umywają się do dzieł, jak „Ojciec Chrzestny”. Nie dorastają im do pięt. Ten poziom jest systematycznie słabszy. Ja nie mówiłem o tym zjawisku, że myśmy się w zasadzie wyscili w filmie, a także czy literaturze, bo w zasadzie już wszystko zostało nakręcone czy napisane, teraz już występuje tylko szukanie innego sposobu podejścia do tego samego tematu. Ten temat, jakim jest życie, jest wyczerpywalny. Jak zasób nut jest wyczerpywalny, czy wyczerpywany jest zasób słów. Można je tylko inaczej konfigurować. Powiedzmy to, współczesna muzyka podeszła do ściany. Muzyka, której można posłuchać na Warszawskiej Jesieni jest albo dla snobów, albo dla ludzi tak dalece się na niej znających, że są na innym poziomie percepcji tej muzyki. Uważam, że jest to rodzaj niszowej hochsztaplerki.

Przytoczę pewną anegdotę, bo to zabawne. Kiedyś w Zakopanem „wylądowałem” u ciotki Andrzeja Bachledy, najlepszego polskiego alpejczyka. Był tam także Henryk Mikołaj Górecki. Górecki pił z nami wódeczkę, opowiadał anegdoty. Potem pojawiła się gitara, zaśpiewał jedną piosenkę. Górecki z wysokości swojego majestatu pochwalił. Zapamiętałem to spotkanie, bo Górecki mówił wtedy, że Kronos Quartet, najwybitniejszy chyba skrzypcowy kwartet świata, czeka na jego koncert już trzeci, czy czwarty, rok, a jemu jakoś tak nie idzie komponowanie. Rozstaliśmy się. Minęły jakieś dwa lata, a ja tu na Rynku Głównym, w Kurancie, widzę w witrynie płytę: „Henryk Mikołaj Górecki & Kronos Quartet – Koncert”. Myślę sobie, to ten koncert, na który faceci czekali kilka lat. Wpadłem do księgarni, kupiłem i z płytą poleciałem do domu. W domu – buch – do odtwarzacza. I tam się odbywało coś bardzo dziwnego, nieprzypominającego

muzyki w moim rozumieniu. Myślę sobie, co to jest, o co to w ogóle chodzi. Tymczasem oni z tym jeżdżą po świecie, wypełniają sale, przychodzą ludzie i kiwają głowami: tak, tak, świetnie. Z tym się nie umiem pogodzić, podobnie jak z tym, że ktoś gra sztukę Szekspira na współcześnie. Połowa tekstu oryginalnego jest skreślona, bo drugą dopisał sobie reżyser i to się odbywa w magazynie sprzętu rolniczego albo gdzieś tam, na księżycu. To nigdy nie będzie do mnie przemawiać. Inna anegdota, którą opowiadał znany perkusista. Został zaproszony do zagrania w koncercie Pendereckiego. Jest próba, a on miał zagrać na kongach. Mówi – dostałem kwity. Tak muzycy mówią na nuty. Patrzę, i jakbym miał nawet sześć rąk, to i tak nie dałbym rady tego wykonać. Idę na próbę i gramy. Ściemniam, jak mogę, i tylko czekam, aż się ten koncert skończy. Po wszystkim kompozytor i dyrygent w jednej osobie omawia poszczególne sekcje. Jednych chwali, drugich gani i tak dalej. Na koniec pyta: a na kongach kto grał? Perkusista wstaje struchlały, że go zaraz wyrzuci, i mówi: panie dyrektorze, to ja. A Penderecki na to: „o to mi właśnie chodziło”. A to było zupełnie poza nutami, które ten sam napisał. Współczesność daje ogromne pole manewru. Nie uważam, że wszyscy twórcy są hochsztaplerami, bo tak zapewne nie jest, ale jest pole manewru interpretacyjnego i jednocześnie od razu skazuje niezadowolonych lub tych, którym się to nie podoba, na posądzenie, że się nie znają.

**Nasza rozmowa przybiera niebezpiecznie rozmiary wywiadu rzeki, a nie krótkiego wywiadu do Biuletynu AGH, dlatego z bólem wrócę do – chyba najbardziej oczekiwanego i oczywistego tematu – muzyki. Można odczytać z pana wypowiedzi, że w muzyce wydarzyło się już wszystko. Słuchając kiedyś w Trójce „Topu Wszeczasów” czy dzisiaj „Topu 357”, można odnieść wrażenie, że poza wyjątkami, w czołówce są piosenki kilkudziesięcioletnie. Radio łączy pokolenia, a na piosenki – często starsze od nich samych – głoszą stosunkowo młodzi ludzie.**

To potwierdza moją tezę. Proszę zauważyć, jaka jest nieprawdopodobna popularność coverów. Młodzi ludzie wiedzą albo czują, że nie stać ich na napisanie równie dobrej kompozycji, równie dobrych tekstów, więc biorą na warsztat coś, co się wydarzyło, co było popularne. Ale – to, co pan powiedział – młodym ludziom, słuchaczom, to się podoba. Czy wie pan dlaczego? Dlatego, że niektóre media zachowywały się przez wiele lat tak, jakby

to, co zdarzyło się dawniej, było nieistotnie. Wielu krytyków muzycznych pisało w zasadzie, poświęcało swój czas, wyłącznie tylko współczesnym twórcom. Kiedy czytam recenzje obecnych fachowców o kolejnych płytach na przykład Springsteena czy Cockera, to jedyną krytyczną uwagą jest to, że oni nic nowego nie prezentują. Co mnie bawi, bo ja się modłę do tych wykonawców, żeby nic nowego nie prezentowali, tylko śpiewali, jak śpiewają. Kiedyś pracownica Radia Kraków poprosiła mnie, żebyśmy zrobili wspólną audycję pokoleniową. Ona miała prezentować swoje ulubione utwory, ja swoje. To, co ja wybierałem, ona odstuchiwała i, słuchając Paula Simona – Graceland, powiedziała: „Jezu, jakie to jest wspaniałe”. Ja zaskoczony zapytałem: pani jest dziennikarzem muzycznym i tego nie zna? Poza tym jest jeszcze jedno zjawisko – zgiełk informacyjny. Powiedzmy sobie szczerze, wiele rzeczy ginie w tym zgiełku, na przykład piosenka z tekstem. To nie znaczy, że w Polsce zapomniano, jak napisać dobry tekst, ale jego istnienie się kompletnie ignoruje. Celuje się nie w tych, którzy szukają sensu, tylko w tych, którzy chcą mieć rytm, kołysanie i tyle. Czyli – łatwe i przyjemne. To „wykosilo” wszystko, co jest ambitniejsze albo zmusza do zastanowienia, ale tak wygląda świat. Tak robi radio, żeby reklamobiorca był zadowolony. Unieścwiniony został etos autora. Dzisiaj Osiecka czy Młynarski mogliby pisać, ale nie byłiby znani. Telewizja pokazuje na szybko przebiegających napisach końcowych nazwiska wszystkich twórców, ale w radio są prawie zupełnie pomijani. Ten zwyczaj, czyli mówienie, że piosenkę na przykład pod tytułem, napisał taki i taki, skomponował taki i taki, śpiewa taka i taka. Ludzie utożsamiają wykonawcę z autorem. Myślą, że ten co śpiewa, to sam napisał. Przypomniało mi się spotkanie, podczas którego ktoś powiedział, że śp. Kora miała taką wspaniałą piosenkę „Pod Papugami”. Ludzie byli przekonani, że to jest jej piosenka, skoro ona ją śpiewa, a nie Niemena. To nawet nie Niemen, ale to Mateusz Świąćicki skomponował, ale nie miałem do nich o to pretensji, bo skąd oni mają to wiedzieć.

**Jakby nie było, z czegoś to wszystko wynika. Po pierwsze nie ma coraz częściej skąd czerpać dobrych wzorców, po drugie zaczyna brakować wrodzonej, wyniesionej z domu czy szkoły, powszechnej chęci czerpania wiedzy. Wracamy do szukania.**

To jest ta droga do biblioteki, zastąpiona poprzez drogę komórkową. Myślę, że ogromne znaczenie ma dom. To z jakich środowisk

młodzi ludzie wychodzą, to na co zwracają im uwagę starsi. Czasami – choć oczywiście bardzo rzadko – pojawiają się na moich koncertach czy spotkaniach ludzie stosunkowo młodzi, czyli w wieku mojej córki i młodszy, ale oni wszyscy, jeśli dochodzi do spotkania twarzą w twarz i wymiany poglądów, to mówią, że znają moje piosenki dzięki swoim rodzicom, słuchali ich w drodze na wakacje etc. Dzięki temu zawdzięczam fakt, że jestem czynny i na moje koncerty przychodzi dużo ludzi, mimo że mnie nie ma w radiu czy telewizji.

**Pana muzyka, czy to pod – najbardziej rozpoznawalnym i znanym szyldem – Pod Budą, czy w innych muzycznych konfiguracjach, miała zawsze określony charakter. Składały się na niego komentowanie rzeczywistości, która pana otaczała, oraz określony stały styl muzyczny.**

No tak. Jestem wierny stylowi, którego przecież nie wymyśliłem, ale go czuję. Nie piszę piosenek o kosmosie, bo się przecież na nim nie znam, ale znam się na ulicy, na knajpie, na życiu rodzinnym. Ja nigdy nie próbowałem podążać za jakąś określoną modą. Czy to rock’n’rollem, muzyką nowej generacji, rapem, garażem etc. Nigdy nie próbowałem się ubrać w cudze piórka. Przede wszystkim wiedziałem, że będę się w tym tak źle czuł, że nawet jeśli taką piosenkę napiszę, to ona będzie groteskowa w moim wykonaniu. Jednocześnie myślę, że ludzie, ci którzy mnie oczywiście akceptują, oni to sobie cenią. Że to jest facet, który po prostu ma swoją ścieżkę, nią zapieprza, nie patrzy na boki, tylko robi swoje. Stwarza to pozory autentyczności, a ludzie lubią prawdę. Ludzie nie lubią, jak ktoś udaje. Teraz, we współczesności, kreacja, czyli opakowanie, jest często ważniejsza niż treść. To powoduje, że wielu wykonawców to są dla mnie wydmuszki. To wszystko jest ładne, ale o nic tam nie chodzi. Ja nie uważam, że każda piosenka ma wywoływać rewolucję albo rozwiązywać tajemnicę bytu, bo to nie jest potrzebne, ale chciałbym bardzo, żeby ona była w języku ojczystym sklecona poprawnie i o czymś opowiadała. Każda moja piosenka jest jakąś historyjką, bardziej lub mniej błahą, która zmierza do jakiejś puenty, nigdy nie kończy się takim czymś zawieszonym w przestrzeni. I na tym koniec. Ludzie, którzy mnie słuchają, oni takich właśnie rzeczy ode mnie oczekują. Bardzo często mówią: to jest o nas. Ludzie lubią piosenki o nich samych. Tak, jak mi raz powiedział pijany gość po koncercie: ja myślę tak, jak pan, tylko nie umiem tego napisać.

**Sam tak mam. Pewnie ze względu na gust swoich rodziców. Do dzisiaj słucham pana piosenek, skomponowanych kilkadziesiąt lat temu. To są ponadczasowe melodie o uniwersalnym przesłaniu. Choćby: „Blues o starych sąsiadach”. Ona była aktualna dwadzieścia lat temu i będzie za kolejnych dwadzieścia.**

Tak, to prawda. Dlatego, że ja piszę cały czas jakby o nas, o sobie. O moim otoczeniu. To są piosenki o ludziach, których gdzieś kiedyś poznałem, mam w zakamarkach pamięć. Ja teraz się głowię nad piosenką, o dziewczynie – manekinie z wystawy. I, jeżeli te manekiny będą trwały za dwadzieścia lat, to utwór będzie aktualny.

**Po smutnym czasie pandemii, kiedy pewnie tę rozmowę odbywalibyśmy przez telefon, siedzimy w kawiarni. Otacza nas tłum. Tu, w środku, ale i za oknem na Rynku. Ludzie znowu – nawiązując do tekstu wspomnianej piosenki – chcą się spotykać.**

My jako gatunek jesteśmy zdecydowanie stadni. Nas izolacja zabija. Pandemia wyrządziła wiele szkód. Obserwuję to u swojej wnuczki. Dzieci nie tylko po to chodzą do szkoły, aby zdobywać wiedzę, ale przede wszystkim po to, by być ze sobą. Uczymy się w ten sposób reagować na drugiego człowieka. Można, jak w dawnych czasach, mieć guwernantkę, w domu uczyć się języków obcych, matematyki, historii czy grać na fortepianie. To jest oczywiście, możliwe, ale szkodliwe. Ja nie wyobrażam sobie, że nie mam wspomnień szkolnych, nie mam kolegów licealnych, nie mam kolegów ze studiów, których ubywa, ale z którymi mam jakiś kontakt. To jest nam potrzebne jak tlen. Nic na to nie poradzimy.

**Gdyby miało być tak, jak pan mówi, w sensie, że żyjemy tylko osobno, to nie byłoby instytucji koncertów. Muzyka byłaby zupełnie inna. Byłaby tylko w radio, w Internecie.**

Zgadza się. Ostatni koncert, który nagrałem, w Teatrze Słowackiego, znajdujący się na podwójnej płycie, był ponurym przeżyciem. Wymyśliłem wprawdzie, że będzie o tyle – nazwijmy to – oryginalny, że myśmy zagrali, stojąc tyłem do widowni. Pusta widownia stanowiła gotową scenografię, a myśmy grali do kilku osób, realizujących światło, dźwięk. To było przykre wydarzenie. Zdaję sobie sprawę, że jeszcze gorzej miałby pewnie facet, który zawodowo opowiada dowcipy, jakby je „walił” do ściany, bo on bez kontaktu z widownią, która się śmieje, reaguje, jest bezradny.



Ja miałem trochę łatwiej. Podczas grania gdziekolwiek, na każdej sali, kiedy przychodzi oświetleniowiec i pyta, jak nas zaświecić, odpowiadam, że jak pan chce, tylko ja chcę przynajmniej dwa rzędy pierwsze widzieć. Żeby mi pan nie walił po oczach, że będę miał przed sobą anonimową ciemność. Ja muszę widzieć, jak ktoś reaguje w pierwszym czy drugim rzędzie. To jest dla mnie najważniejsze. Potrafię czasem do jednej pani zaśpiewać całą imprezę. Ja widzę, że ona ze mną śpiewa, reaguje na pewne zwroty, uśmiecha albo ociera łzę. Na tym to polega.

### Pisał pan piosenki dla siebie, pisał też dla innych. To zupełnie inna robota?

To jest inna robota. Pisałem przede wszystkim dla kobiet. W przypadku Pod Budą musiałem pisać dla koleżanki, która te piosenki wykonywała. Musiałem wczuć się w psychikę kobiety. Mając akurat i żonę, i córkę w domu, a teraz i wnuczkę, ten świat jest mi bliski. Pisałem dla Maryli Rodowicz, pisałem dla Ali Majewskiej, więc potrafiłem troszeczkę myśleć kategoriami kobiet. Łatwiejsze jest pisanie piosenek w całości, pisanie do gotowej muzyki jest technicznie trudniejsze, przypomina trochę rozwiązywanie krzyżówki. W tej linijce, frazie, jest tyle sylab, w innej tyle. Za tym nie przepadam. Ma się narzucony kaganiec rytmiczny, ale takie piosenki pisałem dla Krzyśka Cugowskiego, pisałem dla Zbyszka Wodeckiego. Najwięcej napisałem dla Maryli. Robiłem to nie dlatego, bo wiedziałem, że Maryla to wylansuje i będę miał z tego profity, choć oczywiście to też nie jest bez znaczenia, ale wiedziałem przede wszystkim, że Maryla tak dobrze czuła to, co ja robię, że kiedy wysyłałem jej demówkę nagrałą z gitarą w domu, to nie miałem później kontaktu z jej aranżerem, a słysząc gotową w radio, mówiłem: tak, ja też bym tak to zrobił. Wysyłałem i miałem święty spokój. Nie było próśb, żeby coś zmienić, czego bardzo nie lubię. Z zupełnie oczywistych powodów najbardziej lubię pisać dla siebie samego albo dla swojej córki. Jeśli jeszcze jakieś piosenki powstaną, to właśnie takie.

Tak myślę o nadchodzącym czasie. Mam tyle lat, że nie mogę planować na dekady, bo to trudno, żeby się zdarzyło. Natomiast, biorąc pod uwagę, ten mijający rok, w którym zagrałem około pół setki imprez, a na przyszły w kalendarzu są już pewne zajęte miejsca. Jeśli tylko tak to będzie, to i tak będzie dla mnie pracowity. To przecież polega głównie na przemieszczaniu się, bo w Krakowie gram sporadycznie, a większość imprez odbywam

daleko gdzieś. I powiem, o ile kocham stać na estradzie z gitarą, o tyle siedzieć w samochodzie, który jedzie do Gdańska, nie bardzo kocham, ale nie ma za bardzo wyjścia. Tak myślę o przyszłości, żeby jeszcze trochę się pospotać z publicznością, dopisać ze dwie – trzy piosenki i zobaczyć kawałek świata. W pierwszy dzień świąt lecę do Wietnamu i to jest pozaartystyczna moja działalność. Oboje z żoną lubimy podróżować i przynajmniej raz w roku – nie do Grecji, gdzie bywamy częściej – gdzieś bardzo daleko, żeby zobaczyć jakąś egzotykę, inny świat. I to są – że tak powiem – moje plany na najbliższą przyszłość.

### Jaką rolę w pana życiu odgrywa Kraków?

Powiem szczerze, że nie bardzo nawet wiem, jaką. Tutaj się urodziłem. Mój ojciec urodził się tutaj, na Rynku, pod 37. Mój pradziadek miał kram w Sukiennicach, bławaty jak to się mówiło, z materiałami. Mogę powiedzieć, że po mieczu, po linii ojca, jestem przyklejony do Krakowa. Mama jest napływowa, pochodzi z Wielkopolski, choć urodziła się w Warszawie. Potem wylądowała tutaj, bo ojciec mojej matki był wojskowym i przerzucali go w różne miejsca. Dla mnie Kraków jest taką oczywistością. Dla mnie oczywiste jest to, że urodziłem się i wychowałem na Siemiradzkiego, chodziłem do szkoły na Szlak, potem do liceum na Sobieskiego, potem studiowałem w uniwerku. Wszystko miałem w zasadzie blisko. Dzisiaj tak się moje życie ułożyło, że mieszkam w centrum Krakowa, matka na Królewskiej, córka na Lea. Wszystko koncentruje się w promieniu kilku kilometrów. Ten Kraków to jest niewątpliwie duży wpływ tradycji, takiej domowej, mieszczańskiej. To jest przywiązanie do świąt, do pewnych rytuałów, jak ten obwarzanek w „Zwisie” i herbata przedpołudniowa. Spotkanie ze znajomymi, kilka telefonów do najbliższych. Myślę, że ja nie przeceniam wpływu Krakowa na to, co robię. Zawsze mi się wydawało, że gdybym urodził się w Białymstoku, to pisałbym piosenki o Białymstoku i wcale nie byłyby gorsze niż te, które piszę tutaj. Nie uważam, że to miasto daje patent na bycie artystą. Nie daje. Obecność Krakowa jest trochę niezauważalna. Przez to, że jest cały czas, jest to stan oczywisty. To tak, jakby – ja wiem – zapytać rybę, która pływa w stawie, jakie znaczenie ma dla niej staw. Powiedziatoby, że tu żyje, tu je, tu się rozmnaża. Takie znaczenie ma dla mnie Kraków. Nie mówię o estetyce. Przyjemniej jest mieszkać w renesansowym centrum Krakowa, niż być mieszkańcem – nie chcę znowu obrazić – jakiejś brzydkiej miejsco-

wości, bo bywają brzydkie miejscowości. I to chyba w tym to moje myślenie o Krakowie się zawiera.

### Żebyśmy tę rozmowę zakończyli muzyką, zapytam o zestawienie dwóch kobiet. Tych w moim wyobrażeniu pana twórczości najbardziej oczywistych – Anny Treter, z którą tworzył pan zespół Pod Budą oraz pana córki, Mai.

Gdybym miał oceniać, to z Anią to jest kawał historii. Do dzisiaj, choć już prawie nie występujemy w ogóle razem, jesteśmy w stałym kontakcie. Nasze drogi się jakoś rozeszły, ale to nie stało się z powodów towarzyskich ani artystycznych. Ania wcześniej ode mnie nagrała swoją solową płytę. Potem ja spróbowałem własnych sił. Uznałem, że mogę zadbać o swój wizerunek i nazwisko, że nie będę krył się za szylde „Pod Budą”, mimo że jestem frontmenem tego zespołu i że chcę zobaczyć, jak zmierzę się z rynkiem nazywając się Andrzej Sikorowski. Jak się sprzedaje płyta. Ona poszła swoją drogą, ze swoim mężem, który dla niej komponuje. Ja poszedłem swoją drogą. Gdybym miał porównywać swoją, młodszą o pokolenie, córkę, to przypisałbym obu tym kobietom dwie cechy. Obie są bardzo muzyczne i obie potrafią śpiewać. Robią to nienagannie. Natomiast, zarówno Ania, jak i Maja, o co często je posądza czy też oskarżają, są wokalistkami – nazwijmy to – mało współczesnymi. Oparły się wszystkim wpływom tych panienek, stosujących melizmaty, nie skaczą po scenie. Śpiewają po prostu w punkt, interpretując tekst. Są świetne dykcyjnie. Mogę powiedzieć, że to są takie maszyny do śpiewania, są w stanie zaśpiewać wszystko, co im odpowiada. Prawdopodobnie nie zaśpiewają rock and rolla, ale ich to nigdy nie interesowało. Maja czasem słyszy, że śpiewa podobnie jak Anka. Ale wcale się tego nie wstydzi. Mówi: wyrosłam w takim klimacie, słuchałam takiej muzyki i taka mnie interesuje. Dzisiaj wnuczka mówi, że koleżanki w piątej klasie podstawówki zarzucają jej, że nie zna jakiejś współczesnej popularnej wykonawczynie. Maja mówi wtedy, zapytaj je, czy wiedzą coś o Marku Grechucie i niech się od ciebie odwalą. My żyjemy w takim świecie, ktoś inny w innym. Ja osobiście wolę, by ktoś był podobny do Marka Grechuty niż do Sanah. Z całym szacunkiem. Powtarzam, w dwóch słowach. Nie są współczesne, ale równocześnie potrafią jak mało kto.

Postawmy w tym miejscu kropkę. Dziękuję za rozmowę.